NUMER 41. DNIA 9. PAŹDZIERNIKA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z pamiętników Wincentego Pola.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Przez przeciąg dwóch tygodni prawie po połączeniu się powstania litewskiego z wojskiem koronnem, odetchnęliśmy nieco wolniej, bo już można było i noc przespać spokojnie i furażować z mniejszem niebezpieczeństwem i gotować w czasie południa lub wieczora krupnik. Kozacy nie zbliżali się do korpusu, który miał działa i piechotę, nie docierali do łańcucha i placówek a nawet natarczywość Czerkiesów straciła swój impet, bo starłszy się parę razy z ułanami starych pułków, zostali na patrolach prawie do nogi wykłuci. Otóż coraz więcej można było ujrzeć w szeregach i w sztabie i jeźdźców na czerkieskich koniach i w czerkieskich siodłach siedzących, a cóż to za rozkosz przesiąść się na czerkieskiego konia, cóż to za okulbaczenie i okiełzanie mądre, a konia kuć nie trzeba, bo nigdy nie miał podkowy i po największej ślizgawicy i po lodzie idzie, jakby świeżo okuty, a tak żyrny, że się lada czem popasie i odżywi, stąd też miały te podjazdowe walki z Czerkiesami wiele ponęty i kiedy podjazd starego pułku z obozu wyruszył, zamawiali sobie oficerowie u ułanów czerkieskie konie, janczarki i kindżały, a ułani cieszyli się na spotkanie z Czerkiesami, bo nienawiść całego kraju była do tego oddziału wojsk moskiewskich największa. Od kilku miesięcy rabowali oni całą Litwę, wyprawiali najstraszniejsze okrucieństwa z kobietami i jeńcami i obłowili się, co się zowie. Odtąd też kiedy ułan wśród boju chwycił konia z pod Czerkiesa ubitego, to oficer, dojeżdżając, wołał: „koń mój“, a ułan odpowiadał „dobrze, ale co w siodle i przy Czerkiesie, to moje“ i nietrudno było o podział łupu, bo każdy Czerkies miał przy sobie złoto, mnóstwo srebrnych ozdób na ubraniu, szaszkę, kindżał i pistolet, w złoto, srebro i słoniową kość oprawny, a nadto jeszcze dowodną janczarkę, która w zamianie zdobyczy szła za dobrego konia.

Jest przekonanie starych żołnierzy, że co się nabędzie w boju, nie trzyma się człowieka, więc też łatwo było o zamianę i nabytki z czerkieskiego arsenału, ale nie tak łatwo o konia, bo kiedy się Czerkies z konia zwinął, a zwinął się nieraz, nie będąc ani zabitym ani rannym, ale uchodząc przed niebezpieczeństwem w krzaki, pomiędzy opłotki i chaty, gdzie go już na koniu dojechać nie można było, to koń puszczony sadził sam przez rowy i płoty a spieszony Czerkies raził celnymi strzałami z poza węgła lub opłotków i nieraz tak się zdarzyło, że konie całego prawie podjazdu ruszyły sobie w różne strony luzem, a spieszeni Czerkiesi znikli w mgnieniu oka bez śladu i dopiero po strzałach, które z różnych stron padały, można było znowuż policzyć tych, co przed chwilą bez śladu niby znikli.

Nieraz już za kark chwytał ułan Czerkiesa, kiedy ten zwinął się pod brzuch konia, a koń wyuczony na te sztuki skoczył w bok lub zwrócił się w miejscu a kiedy ułan zagapiony stanął, wywinął się Czerkies z pod brzucha znowu na siodło, osadził konia w miejscu, rozglądał się zupełnie spokojnie i odstrzeliwał się z janczarki albo pistoletu. Niełatwa to walka z konnym kaukaskim góralem, który od dzieciństwa zaprawiał się do konia i boju, którego koń tak się zna z człowiekiem i z niebezpieczeństwem wojny, jak człowiek.

Dzikość, zdradna przewrotność w boju, zręczność nadzwyczajna korzystania w każdej chwili z okoliczności, odmienność zupełna szyku wojskowego,

łatwość w rozpierzchnieniu się, które nie jest przypadkowe i po którem niema na kogo uderzyć, łatwość zebrania się silnego w mgnieniu oka, bez sygnałów i komendy prawie; to wszystko razem sprawiało, że walka z tą dziczą kaukaską nie była łatwą dla żołnierza przywykłego do porządnego szyku, do komendy i sygnałów.

Chodził tam pod dowódcą Czerkiesów koń mameluk biały, jak mleko, wzrostem nie dochodził prawie 14-tej miary, ale nosił się tak wyniosło i wyskocznie przodem, że już po ruchach tego konia można było i jego i jeźdźca poznać na tysiąc sążni odległości. Był to koń niewidzianej rasy, a dzikiego dowódcę znała cała Litwa w owym czasie, bo był postrachem wszystkich oddziałów powstańczych, był to koń, z rasy rzeczywiście podobny do koni dawnych mameluków i tak też nazywano go, gdy o nim mówiono w obozie.

Dawno byłby już dowódca Czerkiesów może nie żył, gdyż się bardzo narażać lubiał i sam docierał na czele, ale koń jego ratował go, bo go niósł w samych zwrotach i skokach, a w konia nie chciano strzelać, bo właśnie każdemu chodziło o konia.

Raz zostaliśmy komenderowani na podjazd. Pluton szedł z naszego pułku, a drugi z pierwszego pułku ułanów. Gdyśmy się do wsi zbliżali, usłyszeliśmy głosy na trwogę; przed jednym dworkiem stało w dziedzińcu kilka czerkieskich koni, cała wieś była opłocona i kołowrotem zamknięta. Poza chmielniki dokoła wioski wiodła mała dróżka, tą tedy dróżką puścił się jeden pluton dokoła wioski niepostrzeżony przez Czerkiesów, aby zająć kołowrót i zamknąć drogę do odwrotu. Jakoż objechał po chwili ten pluton wioskę, pod zakryciem chmielników, zajął drogę na kołowrocie we wsi i zamknął kołowrót. Drugi zaś pluton, który się przy wjezdnym kołowrocie zatrzymał, wchodził stępo do wioski, bo zdawało się, iż mają Czerkiesów jak w saku, nie przyjdzie nawet do walki; kilku ułanów wpadło na obejście, by pochwycić za czerkieskie konie, które tam luzem stały, ale tu przyszło do krwawej bardzo rozprawy.

Czerkiesi rozpoczęli żwawy ogień z poza węgłów, z poza opłotków i od chmielnika i pluton musiał się cofnąć do kołowrotu, bo w mgnieniu oka mieliśmy do dziesięciu rannych i cztery zabite konie. W naszym plutonie miało wielu dubeltówki i karabinki, tych komenderowano z konia na piechotę razem z karabinierami, którzy byli przy plutonie z pierwszego pułku, a kilkunastu ułanów komenderowano na dróżkę poza chmielniki, bo jużciż tylko tędy mogli się cofać spieszeni Czerkiesi; przyszło na piechotę do zaciętej walki po wypaleniu nabitych broni; tak z jednej, jak z drugiej strony poczęła się walka, jak to mówią, na gołe łby i zdobywano każdą chatę i chlew każdy, luźne konie Czerkiesów, pobudzone strzałem i wojenną wrzawą, rozpierzchły się po drodze i po wsi. Dziewięć koni pochwycili ułani, reszta uszła, sadząc przez płoty i rowy, jeden tylko koń czerkieski przebił się na płocie, ale siodło było tu więcej warte od konia, bo pod poduszką była zaszyta garść złota. Kilku ułanów z pierwszego pułku, którzy nie ufali pojedynczym strzałom, odrzucili pałasze a wzięli z sobą lance i ci wyszli najlepiej, bo kłuli na piechotę lancą i okładali drzewcami, kiedy się Czerkies krótką szaszką bronił. Oddział ułanów, który za chmielnikiem czekał na odwrót Czerkiesów, wziął kilku w niewolę, kilku wywlekli chłopi z palących się chat, którzy się teraz już do drągów wzięli i rzucili nam skrwawionych Czerkiesów przed konie.

Głupia sprawa we wsi i pomiędzy opłotkami, bo mała tylko część naszego podjazdu mogła być czynna i nikt nie sądził, że przyjdzie do tak krwawej rozprawy, bo Czerkiesów było wszystkiego tylko dwadzieścia jeden koni, jak nam teraz miejscowi zeznali ludzie; szczęściem żeśmy mieli w zdobyczy czerkieskich jeńców i konie, boby trudno było usprawiedliwić poniesione straty przed jenerałem Chłapowskim, który brał rzecz bardzo ściśle. Komendant podjazdu wypytał jeńców i z powziętego języka wypadło wracać do korpusu. Trzech do czterech było tak ciężko rannych, że potrzeba było pod nich wziąć wózki; jeńców wzięto na powróz przy koniach, zebrano bronie czerkieskie i konie zdobyte, ułani wsiedli znowu na koń i cała prawie droga od kołowrotu do kołowrotu była wojskiem zajęta, środkiem tylko był przedział może stu sążni zupełnie wolnej drogi. Wtem przybiegł jakiś Litwin, który siedział pod dachem i patrzył na wszystko przez strzechę, zadyszany przybiegł i powiada, że się po środku chmielnika ruszają wierzchy tyk, więc tam w chmielniku jeszcze ktoś siedzi. Komenderowano tedy znów tych, co mieli dubeltówki, od polnej drogi z za chmielnika, z rozkazem, aby przeszli chmielnik. Czekamy chwilę a z chmielnika wyjeżdża Czerkies na koniu, ale jakież było zdziwienie wszystkich, gdyśmy w koniu poznali owego białego mameluka a w jeźdźcu dowódcę Czerkiesów; wyjechał z chmielnika stępo, przejechał pomiędzy dwoma chatami i zatrzymał się na środku drogi pomiędzy obydwoma naszymi oddziałami. Tu obejrzał się, jak lis, szybko i na

wszystkie strony; jak mówiłem miał się już nasz oddział do odwrotu, tych co wyciągnęli łańcuch po za chmielnikiem nie ściągnięto jeszcze z polnej drogi, na kołowrocie stało tedy nie więcej, niż dziesięciu ułanów przy komendancie podjazdu, ale kołowrót był zamknięty. Radośny okrzyk odezwał się od obydwóch kołowrotów na widok tej zdobyczy. Mameluk rzucił się w kilku zwrotach pod jeźdźcem, raczej uczuł, co się w tej chwili z nim i z panem jego działo. Dowódca Czerkiesów poklepał go po szyji, koń się uspokoił a on wyjąwszy białą chustkę, skinął nią kilka razy i jechał stępo na kołowrót do szpicy, gdzie stał komendant oddziału. Ułani rozstąpili się, gdy wjechał między nich, stał tylko oficer naprzeciwko niego w poprzek drogi, tuż przed kołowrotem zamkniętym. Dowódca zatrzymał konia, skłonił się oficerowi i zdjął z siebie szaszkę, i razem z dużą kieską złota oddał ułanowi najbliższemu. Ułani chcieli pochwycić za niego i konia, ale oficer wykrzyknął: „Precz wiarusy! kiedy się honorowo zdaje, trzeba go honorowo wziąć“, na te słowa cofnęli się ułani. Z tej chwili skorzystał Czerkies, wyrwał z wściekłością kindżał i chwycił go w zęby, potem zebrał konia obydwoma cuglami i przez zamknięty kołowrot przesadził w dwóch susach; kilka strzałów padło za nim, ale koń jego nakrył się ogonem i ruszył błyskawicą. O kilkadziesiąt kroków stanął w miejscu, poklepał konia i pojechał stępo dalej, a zanim ułani osłupieni z konia zsiedli, kołowrót otworzyli dla siebie i cwałem dalej pogonili za nim, znał się on już na koniu swoim bezpieczny; co więcej szydził z nich, bo przesadzając to w tę, to w ową stronę przez szerokie rowy, igrał sobie z nimi i pytał się, czy im się jego koń podoba, i obiecywał przysłać Czerkiesów po szaszkę swoją. Widocznie chciał on naprowadzić ułanów na jakąś zasadzkę; rowu takiego, jaki on przesadzał, żaden koń ułański nie był w stanie przesadzić — więc po krótkiej pogoni powróciła szpica z wielką konfuzją, komendant podjazdu prosił, aby nie mówić o tem zajściu w brygadzie, bo wstyd wielki, że taka ryba uszła z matni, co już w matni była.

Oficer czuł to, że uchybił bardzo, że nie kazał ująć i konia i jeźdźca, ale tłumaczył się tem, że nie było kogo chwytać, bo stał między nami i rozbrajał się sam i nikt nie mógł przewidzieć, że siedzi na koniu tej dzielności.

Jak grzech rozdzielają czasem nasi chłopi na całą gromadę, tak tu rozdzielili wstyd na całe dwa plutony: był to sekret familijny, którego zdradzić nikt nie miał prawa, póki trwała wojna — lecz dziś nie żyje pewno i ów Czerkies, co nas na białym dojeżdżał mameluku, i wiem o tem z pewnością, że komendant tego podjazdu nie żyje, więc dla nauki tych, co może na przyszłość walczyć będą z Czerkiesami pod chorągwiami moskiewskiemi, daję tu tę przestrogę, aby się rycerskiemi uczuciami nie kierować, kiedy z Czerkiesami sprawa. (D. n.)

OFIARA [5)]

FRAGMENT W 3 AKTACH Z ROKU 46-go

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ORKANA.

(Ciąg dalszy.)

JAN *(wracając od okna)* Pamiętasz, Marjo *(staje za nią, opierając dłonie o fotel)* ...te wieczory jasne, białością wielką przepojone...? Chodziliśmy, jak cienie Danta po ogrodzie... pamiętasz?

MARJA *(w zamyśleniu potakuje głową).*

JAN. Chwile te nieraz powracają falą. Każda ma inną barwę i swoje własne upierzenie... jakieś anielskie, białe...

MARJA *(w zamyśleniu bujając)* Tak... anielskie... białe...

JAN. Pamiętasz... hm... przypominam ci wszystko, jakby to była ostatnia godzina... rozłąki... *(odchodzi zwolna. Zegar powoli wydzwania dwunastą).*

MARJA *(zrywa się)* Słyszałeś... Janie?

JAN *(wraca ku niej)* Co? Dziecko moje drogie...

MARJA. Nic. Zdawało mi się... *(słychać dalekie wołanie sowy).*

JAN. To nic. To nasza „pójdźka“ w ogrodzie się odzywa. Nie trwóż się. Czemu tak drżysz? Moje!... Może światła?

MARJA. Nie... nie... *(osuwa się na fotel).*

JAN *(stoi obok niej — milczenie, w które wpada).*

ŚPIEW *(z za sceny, z oddali):*

„Strach to surowy na ludzkie głowy,
Gdy marsz prędki nakażą —
Wezmą fortunę i zamkną w trunę,
Ze wszystkiego obnażą...“

MARJA. Ten śpiew idzie wskroś serca... *(drżąc, unosi się na ręku)* Słyszałeś słowa jego — Janie?

JAN. Tak.

MARJA. Ona wie i ostrzega... ah! Tej zwrotki niema w całej pieśni... *(Rzuca się ku Janowi z mocą wielką)* Janie! Tych ludzi jutro nie wpuszczaj do domu! Każ pozamykać bramy!...

JAN. Więc ty myślisz... Nie, nie, nie... Tym ludziom ufam, jak sobie samemu... Przecież... żyję z nimi, jak z braćmi. Mają we mnie sąsiada, nie pana. Skądże ci ta myśl dziwna... Nie, nie...

MARJA *(cicho płacze)*.

JAN. Uspokój się, Marjo! Ta dziewczyna opętana smutkiem...

(pukanie)

Kto tam? *(Marja słania się i opiera o ścianę)*.

JÓZEF *(staje we drzwiach)* Konie już popasione. Rychło pojedziemy? Może czas...

JAN. Zaraz... nie... nie teraz... Zaczekajcie jeszcze. Ja wam tam powiem... *(Józef cofa się)*.

MAGDUSIA *(we drzwiach, ze świecą)* Człowiek czeka...

JAN. Niech wejdzie! *(odbiera od niej świecę — stawia na kominku — Magdusia odchodzi, nie zawierając drzwi)*.

POSŁANIEC *(staje we drzwiach, omrożony cały — na skinienie Jana podchodzi i w milczeniu podaje Janowi listy)*.

MARJA *(bliska omdlenia, stoi w bezruchu poprzednim, oparta ciałem o ścianę)*.

JAN *(gorączkowo rozrywa papier — czyta)* Tak... Spocznij, bracie! *(wskazuje ręką posłańcowi fotel)*. Dobrze... Więc jutro. *(Podchodzi z dłońmi splecionemi ku Marji — serdecznie)* Ja na nich tylko liczę!...

(Kurtyna spada).

AKT III.

(Pokój obszerny, jak w akcie pierwszym. Stół długi na środku pokoju, dookoła stołki, na których siedzą: Jędrzej, Walek, Rokita, Jastrząb, Kukulec, Łozina; prócz nich Matus, urlopnik i kilkunastu gospodarzy. W pośrodku między nimi Jan, twarzą ku widowni. Kubuś po stronie się kręci. Stół nakryty; na nim talerze, miski, półmiski i szklanki. Za podniesieniem kurtyny gwar pomieszanych głosów i śmiechy ludzi sytych. Koniec obiadu.)

JAN *(w którego zachowaniu się widać przymus wewnętrzny, następnie cierpienie, gdy go słowa zgromadzonych ranią, a w końcu zdenerwowanie — wstaje teraz, podsuwa gościom półmiski i raczy)* Proszę, jedzcie, moi mili...

JASTRZĄB. O, już dość.

WALEK. Obżarstwo i pijaństwo — grzechy o pomstę do nieba wołające.

KUKULEC *(ogryzając kość, wzdycha)* Nie sposób *(wpatruje się)* dostać tego śpika... *(do sąsiada)* Skrzepcież mnie kumotrze.

ROKITA. Dejcie ino, my go tu wyjmiemy. *(Dobywają się wspólnemi siłami)*.

JĘDRZEJ *(skończył dogryzać, spojrzał w górę)* Niech jej Bóg da zdrowie, tej sarnie... dobra była!

JAN. Więc już nie?

WALEK. Zaś by był grzech.

JAN. Kubuś, zbierz ze stołu. Zawołaj Magdusi.

KUBUŚ *(biegnie w stronę kuchni, pośliznął się, upadł. Zebrani wybuchają śmiechem)*.

JASTRZĄB. Widzisz — nie nauczyłeś się jeszcze chodzić po pańskich pokojach.

JĘDRZEJ. Trudno ono przywyknąć do skóry, w której sie człek nie ulągł. Pies najzgrabniejszy w swojej własnej sierści — choćby go ta i nie wiem w co ubrał... *(Kubuś wraca, a za nim Magdusia)*.

MAGDUSIA *(wchodzi, zbliża się do stołu, zbiera talerze, nie podnosząc oczu; przechodząc koło Jana, spojrzała nań boleśnie — idzie dalej)*.

WALEK. Wezwyczajenie najtrudniejsze. Ja, jak mnie pierwszy raz pan zaprosił siedzieć, tom siedział, jak na gorącem żelezie — taki mię gorąc obiegał: tak mi sie to nijako widziało.

ROKITA. Dawniej trza było stać pokornie, jak pan pies, za oknem...

JĘDRZEJ. Hej, abo leżeć na ławie... i rachować se kije, które suli.

ŁOZINA. Gorzej jeszcze bywało... *(do Jędrzeja)* Pamiętacie wy ten słup z łańcuszkami? Przy gumnie stawał...

JĘDRZEJ. Ba — cóżbych nie pamiętał!

ŁOZINA. Ładny to był sprzęt...

MATUS *(gdy Magdusia nadchodzi ku niemu)* Widzisz — musisz mi i tak usługować!

MAGDUSIA *(rzuca talerz, który z przed niego wzięła)* Nie muszę.

MATUS. Ho! Jak sie rozwielmożniła... Cie! cie! pedziałby kto... *(Magdusia, biorąc trochę talerzy, wychodzi)*.

JAN *(do Kubusia)* Przynieś wina!

ŁOZINA *(jakby sobie pieśń przypomniał — nuci)* „Hoj, wino, wino, wino..."

KUBUŚ *(rozstawia szklanki i śmieje się głupawym śmiechem)*.

JASTRZĄB *(żartobliwie w stronę lokajczyka)* Hycla kawałek! W chałupie mu sie robić nie chciało...

ROKITA. I wyśtuderował na pana — co chcecie?

KUKULEC *(cicho do Kubusia)* Przynieś ta tego najlepszego... a wartko!

JASTRZĄB *(za nim)* Ino sie spiesz! *(ciszej)* A klucze od piwnicy ostaw...

KUBUŚ *(przytakuje głową i oczami — wychodzi).*

JAN *(do Matusa)* Jakże z twoim ożenkiem?

MATUS *(porozumiewajac się oczyma z ojcem)* A, ozmyśliłem sie...

JAN. Czyń co ci sumienie radzi.

MATUS. Ba, kiedy ono mi nic nie radzi.

ŁOZINA. Matus! Powiadam ci, że ty wygrasz..., wygrasz terno, ino sie ożeń z moją córką...

JASTRZĄB *(do Łoziny)* Słuchajcież... *(objaśnia go po cichu).*

JĘDRZEJ *(Walkowi opowiada).* Raz nakazali, coby jechać ze zbożem do miasta. I zapowiedział hajduk: na tę a na tę godzinę świtaniem, coby we dworze z wozem stanąć. Akurat w tę noc dziecko mi na śmierć usnęło — i ja na piekne o tej godzinie zabaczył. Zajechałem, jak już dość wysoko słonko nad ziemię wyszło i ludzie już poodjeżdżali. Jak mnie też, wiecie, ekonom przywitał, tom sie cosi ze dwie niedziele potem nie mógł sprościć...

WALEK. Wierzę — coby nie! Przecie i ja pamiętam dobrze; choć-em dużo od was młodszy i już takiej srogości za mnie nie bywało, jak mnie raz ociec posłali na pańskie siano grabić, czy zboże, bo już dokładnie nie baczę. Ja wtedy chłopiec był nieduży, tak prawie do pasenia. Ale tak jakoś wypadło, że trza było — dni na robotę przypadały, a tu ze starszych z chałupy żadne nie miało czasu — juści mnie ociec posłali...

KUKULEC. Gdzież ten huncfot zginął... ani wina, ani nic... *(poziera ku drzwiom).*

URLOPNIK *(wstaje)* Trza iść — przetranspirować municyją...

ROKITA *(słodko)* Już je tu! *(Kubuś zjawia się we drzwiach z koszem).*

URLOPNIK *(podchodząc do Kubusia)* Hab' acht! *(wskazuje ręką Łozinę)* Dyrekcyjon: ta łysa głowa, co tam siedzi... *(Śmiech).*

JAN *(którego każde słowo urlopnika rani, jak widać z twarzy, ożywia się nerwowo)* Wyjmij flaszki i postaw! *(mówi do Kubusia).*

KUBUŚ *(stawia kosz obok, podaje na stół parę flaszek. Jan otwiera).*

ROKITA *(do Jana)* Dejcież, panie, otworzyć, bo nie dacie rady. *(Odkorkowuje parę flaszek, Jan rozlewa kolejno).*

WALEK *(do Jędrzeja)* ...Tom potem wolał w chałupie najcięższe roboty robić, niżeli iść na pańskie. Ociec mnie też już nie posyłali — sami chodzili albo siostra, dopokąd była w domu...

KUKULEC *(do Kubusia)* Wódki tu nie miewacie?

KUBUŚ. Nie.

KUKULEC. I cóż to za państwo?

ŁOZINA *(do Walka)* Hej! Jak se człowiek wspomni, to aż... ale cicho... Pan Bóg wie, co robi...

JAN *(wstaje ze szklanką w ręku)* Za zdrowie wasze! Nikt nie pije?

KUKULEC. Zaraz, zaraz, panie... *(Urlopnik podał graniatówkę i dolewają sobie, podając kolejno).*

JAN *(strwożony)* Wino z rumem? Zgodzi się?

KUKULEC. Coby sie nie zgodziło? To trunek, i to trunek...

JAN. Ależ to gorycz!

JASTRZĄB. Ho! Sumienie chłopskie twarde, to wytrzyma... *(Trącają się niektórzy z Janem)* A pani sie z nami nie napije?

JAN. Żona słaba...

JASTRZĄB. O, to szkoda! Byłaby sie pokrzepiła, a tak... moc Boska... *(do Łoziny)* W ręce, kumie!

ŁOZINA. Na zdrowie.

URLOPNIK *(do Matusa)* Alzo! Pij, kamracie. *(Piją).*

(D. n.)

Dr. MIECZYSŁAW GROCHOWSKI.

O garncarzach na Huculszczyźnie.

Ornamentyka służąca do dekorowania naczyń, używana przez garncarzy na Huculszczyźnie, musi pozostać dla nas zagadką tak długo, jak długo znać nie będziemy dokładnie bjografji garncarzy, którzy jej nadali dzisiejszy charakter; nie wiedząc bowiem jakiego są pochodzenia, jakie odbywali podróże i jakie otrzymali wykształcenie, nie możemy też wiedzieć na jakich wzorach wykształcili styl im właściwy.

Słyszeć n. p. można często, że Bachmiński wyrobił sobie oryginalny styl, zapoznawszy się ze sztuką zachodnio-europejską, w czasie służby wojskowej podczas wojen w zachodniej Europie. Najczęściej jednak nie mówi się o tem, który to był

Bachmiński i w jakich czasach służył w wojsku. Świat cywilizowany zna głównie wyroby Aleksandra Bachmińskiego, który nigdy z okolic Kossowa się nie wydalał. Nietylko więc nie mógł wykształcić stylu na wzorach zachodnio-europejskich, ale nie mógłby nawet mieć wzorów do karykatur, rysowanych zwyczajnie na kaflach, przedstawiających zwykle mężczyzn we frakach i cylindrach, albo w mundurach dragońskich.

Odwiedzając kilkakrotnie Kossów w celu bliższego zapoznania się z życiem tamtejszych garncarzy, miałem sposobność poznać pozostałą rodzinę po ś. p. Aleksandrze Bachmińskim, w osobie jego córki, która jedyna już dziś posiada po ojcu sztukę rysunku i polewy i zięcia Jana Tarnowskiego, którego rodzina pochodzi z Warszawy, on zaś sam trudni się handlem owocami, odznacza się szczerym patrjotyzmem i serdeczną uprzejmością. Od tegoż pana Tarnowskiego staraliśmy się zasięgnąć informacji, co do imion i nazwisk rodziny, które u rozmaitych pisarzy są sprzeczne, tudzież zaczerpnąć wiadomości dotyczących historji rodziny. Tak n. p. prof. Włodzimierz Szuchiewicz w tomie I. „Huculszczyzny“ na str. 317, 318, 319, podaje rysunki wyrobów Jana Bachmińskiego, którego nazywa także Iwanem Bachmetiukiem, podczas gdy na wyrobach Bachmińskiego widziałem sam podpis „Ołyksandyr Bachmiński“ i Aleksandrem nazywa go Ludwik Wierzbicki w dziele wydanem w r. 1882*).

Na zapytania nasze w tym kierunku, odpowiedziano nam, że rodzina ta nie używała nigdy innego nazwiska jak Bachmiński, że Jana ani Iwana nie było w rodzinie, że znanym powszechnie garncarzem był Aleksander Bachmiński, który był dwa razy burmistrzem miasta Kossowa, raz przez sześć a drugi raz przez ośm lat. Dziadkowi było na imię Ferdynand, ojciec Aleksandra pochodził z zaboru rosyjskiego i posiadał pięć medali wojskowych, z których dwa polskie. Ojcem zaś Aleksandra był Piotr.

Chcąc sprawdzić skąd mogło powstać u paru pisarzy (Wierzbicki, Szuchiewicz) nazwisko Bachmetiuk, udaliśmy się do urzędu parafjalnego rzym. kat. w Kossowie, gdzie wielebny ksiądz proboszcz Borkowski udzielił nam łaskawie wyciągu z metryki ś. p. Aleksandra. Otóż w tomie III. metryk parafjalnych znajdujemy metrykę chrztu Aleksandra pod datą 10. grudnia 1820. Ojciec jego zapisany jest w tejże metryce jako Petrus Bachmatiuk figulus (garncarz) matka Anna de Sitnikówna (baptisavit pater Gracilianus Potocki administrator)

Wielebny proboszcz Borkowski objaśnił nas, że późniejsze metryki córek Aleksandra opiewają na nazwisko Bachmiński. Sprzeczności tej nie umiał ksiądz Borkowski inaczej wytłumaczyć, jak przypuszczeniem, że w metryce Aleksandra przez pomyłkę zapisano Bachmatiuk.

Zachodzi więc jeszcze jedna sprzeczność pomiędzy metryką chrztu Aleksandra, a pismami pp. Wierzbickiego i Szuchiewicza, a mianowicie, że obaj ci pisarze nazywają go Bachmetiukiem, podczas gdy w metryce zapisany jest na nazwisko Bachmatiuk.

Wierzbicki utrzymuje, że wyroby ojca Aleksandra, czyli Piotra Bachmińskiego „były pod względem estetycznym zupełnie pospolite i dopiero syn Aleksander, dzięki wrodzonemu talentowi, posiadając niepospolity i niezwykły zmysł artystyczny, rozwinął sztukę dekorowania naczyń w sposób sobie właściwy“. Aleksander miał objąć, według Wierzbickiego, warstat po śmierci ojca w r. 1851. — Najdawniejsze piece kaflowe, które widziałem w Trościańcu i w Kossowie pochodziły często z czasów przed rokiem 1850. Posiadam nawet piec wyrobu Bachmińskiego, który oglądać było można na wystawie przemysłu krajowego w Brzeżanach, (otwartej 11. października b. r.) z datą 1849, a widziałem i dawniejsze. Piece te mógł robić Piotr Bachmiński, lub Aleksander pod bezpośrednim wpływem ojca, spotyka się na nich bowiem często rysunki dragonów, z którymi Aleksander prawdopodobnie nie miał sposobności bliżej się zapoznać, — oprócz tego widzimy na piecach takich większą ilość obrazów świętych, niż na piecach późniejszych. Jedna tylko postać św. Mikołaja powtarza się od najdawniejszych pieców kaflowych do najpóźniejszych wyrobów Aleksandra. Na dawniejszych natomiast piecach spotkać można obraz Matki Boskiej i św. Cyryla i Metodego. Datę znajdujemy zwykle na kafli, przedstawiającej obraz św. Mikołaja, albo też na kafli z herbem austrjackim. — Podpis Bachmińskiego rzadko się znajduje na piecach, dla tego trudno określić, które piece przypisać Piotrowi a które Aleksandrowi. Na piecach pochodzących z późniejszych czasów, widzimy mniejszą ilość obrazów, przedstawiających dragonów, mniejszą ilość osób we frakach i cylindrach, natomiast częściej spotykamy piechotę austrjacką, mniej obrazów świętych, a więcej humorystycznych, przedstawiających sceny przy kieliszku, z tresury zwierząt, albo bójki. — Wesoły humor i pomysłowość Bachmińskiego uwidoczniły

*) Wzory przemysłu domowego — wzory gliniane włościan na Rusi. Naczynia z Kossowa.

się najlepiej w jednym piecu, którego historję opowiadają do dziś w Trościańcu, a ja naocznie piec ten widziałem. Kiedy pewien włościanin, zamawiając piec u Bachmińskiego, żalił się na niewierność swojej żony, Bachmiński dla odstraszenia jej od złych czynów, przedstawił na kilku obrazach zamówionego pieca wesołe sceny z życia tej kobiety, a na ostatniej kafli, karę czekającą ją po śmierci, — obraz ten przedstawia dwóch djabłów rozcinających ją za pomocą bardzo długiej piły.

(C. d. n.)

Muzeum F. Jasieńskiego w Krakowie.

Znużony może swoją dwuletnią wędrówką, w czasie której w Warszawie, Krakowie i Lwowie urządzić zdołał 38 wystaw, a niezawodnie zniechęcony do publiczności, która szlachetnych aczkolwiek nie zawsze pedagogicznie formułowanych jego intencji należycie ocenić nie zdołała, postanowił p. Feliks Jasieński swój dotychczasowy żywot koczowniczy zmienić na osiadły i w jesieni z. r. wraz ze swymi bogatymi i tak różnorodnymi zbiorami osiadł na stałe w Krakowie. Do tego wyboru skłonił go zarówno charakter wysoce kulturalny cichej a tak pięknej stolicy, która do dziś dnia nie przestała być sercem Polski, jak i ta gromadka artystów przyjaciół, która tu od pierwszej chwili jego wystąpienia, zrozumiała go i z entuzjazmem powitała. Za okazaną sympatję wypłacił się autor „Mangghi“ po magnacku: miastu darowizną swych zbiorów na rzecz Muzeum Narodowego, (aktem odpowiednim na ręce dyr. Kopery złożonym), artystom — założeniem klubu „Sztuka“ i urządzeniem dla niego wytwornego lokalu.

Muzeum to niezwykłego rodzaju, mające wygląd wykwintnie urządzonego mieszkania prywatnego, zadziwiającego tylko wielką ilością nagromadzonych dzieł sztuki, tak rozmieszczonych, by pomimo swej różnorodności stanowiły doskonale zharmonizowaną całość, rozpada się na pięć działów: 1) Galerję współczesnej sztuki polskiej, 2) Sztukę graficzną w Europie w XIX. w., 3) Sztukę japońską, 4) Bibljotekę i 5) Meble. Najdonioślejsze dla nas znaczenie ma bezwątpienia dział pierwszy. Jest to bowiem jedyne dziś w Polsce miejsce, w którem studjować można świetny rozkwit naszego malarstwa w ostatnich kilkunastu latach. Dział ten obejmuje kilkaset dzieł czterdziestu pięciu wybitnych polskich artystów, z których bardzo wiele jest w Muzeum Narodowem słabo reprezentowanych, lub którzy nie figurują tam zupełnie. Do tych ostatnich należą tej miary artyści, co Podkowiński, Pankiewicz, Ruszczyc, Dębicki, Weiss. Tę wielką lukę wypełnia nowa filja Muzeum, posiadająca około 70 dzieł tych pięciu artystów, a w tej liczbie słynny „Szał“, zdobiący główną ścianę największego z trzech apartamentów muzealnych. Na Leona Wyczółkowskiego przypada około stu dzieł tak różnorodnych, jak różnorodna jest twórczość tego niepospolitego a tak płodnego artysty. A zatem obrazy olejne, rysunki, pastele, litografje, fluoroforty i rzeźby (w Muzeum nar. jeden obraz olejny i jeden pastel). Jacek Malczewski króluje kilkunastu pierwszorzędnemi dziełami, dalej zaś idą: Stanisławski, Laszczka, Tichy, Czajkowscy, Pieńkowski, Szczygliński, Trojanowski — a więc najmłodsi, tuż obok starszych: J. Kossak, Chełmoński, A. Gierymski — i jeszcze starszych: Simmler, Michałowski, Orłowski...

Dział sztuki japońskiej obejmuje kilka tysięcy okazów. Obok wielkiej a wysoko za granicą cenionej kollekcji drzeworytów i albumów, należy tu moc bronzów, emalji, lak, malowideł, rzeźb, tkanin, haftów, wyrobów z żelaza i stali i t. p. Samych gard na pałasze, z których każda cyzelowana jest artystycznie a każda inaczej, zebrał p. Jasieński przeszło 500. A grafika? To, co p. J. pokazał na swoich wystawach to część zaledwie ogólnego zbioru, obejmującego kilka tysięcy cennych akwafort, litografij, drzeworytów najwybitniejszych artystów starych i współczesnych, jak Dürer, Hogarth, Goya, Klinger, Rops, Odilon Redon, Pankiewicz i t. d. i t. d. Wszystko to (w liczbie 4 tysięcy przeszło egzemplarzy) spoczywa oczywista w mnóstwie tek i albumów, podobnie jak drzeworyty japońskie, podczas kiedy reszta japońszczyzny rozrzucona jest z najwyższym smakiem pośród pięknych starych mebli stylowych i pośród wspaniałych tkanin perskich i tureckich, miejsca wolne pomiędzy obrazami i szafami bibljotecznemi wypełniających. Wszystko razem składa się na całość artystyczną w swoim rodzaju niezrównaną, której urok podnosi jeszcze wspaniały widok z okien na majestatyczny rynek krakowski.

Przeciętnemu obywatelowi galicyjskiemu, zwiedzającemu muzeum Jasieńskiego, jedna rzecz w głowie pomieścić się nie może. Nie jest on w stanie

zrozumieć, że człowiek, który te wszystkie skarby nagromadził i w ofierze społeczeństwu złożył, nie jest bynajmniej miljonerem, ale zaledwie człowiekiem mniej niż średnio zamożnym, który przez dwadzieścia lat odmawiając sobie zaspokojenia ledwo że nie najniezbędniejszych potrzeb osobistych, z zapałem fanatyka każdy grosz niósł w ofierze umiłowanej idei. Zaiste, dziwne i nieprawdopodobne zjawisko u nas, gdzie najwięksi magnaci często zdobywają się co najwyżej na zakupno pięcioguldenowej akcji Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Jeżeli Feliks Jasieński z uśmiechem mówi o dziurawych butach, dzięki którym stworzył swoje muzeum, wsparł i wspiera tylu artystów i przez wielu jeszcze uważany bywa za warjata — nie jest to przenośnią. Nieuleczalny ideolog! on wierzy poprostu, że „każde zwycięstwo sztuki jest zwycięstwem ducha w krainie przyszłości“.

A. C.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Prof. dr. Inazo Nitobé: Bushido — dusza Japonji. Wydawnictwo „Wiedza i życie“. Nakładem H. Altenberga. Lwów, 1904.* Olbrzymi fakt dziejowy, jakim jest obecna wojna rosyjsko - japońska obok innych skutków, mieć będzie prawdopodobnie także doniosły wpływ na etyczne pojęcia Zachodu. Dziś po prostu nie można należycie zrozumieć bohaterstwa narodu, który stanął przeciw kolosowi rosyjskiemu i taką nad nim umiał odnieść przewagę. Niezrozumiałe jest źródło siły żołnierza japońskiego, jego pogarda śmierci, niesłychana odwaga, z jaką napiera na pułki rosyjskie. Europa przeciera sobie oczy ze zdumieniem i poczyna patrzeć wprost w duszę tego narodu, odnajdując tam pierwiastki nieznane sobie dotychczas zupełnie, albo tak bardzo znane, że już powszechnie zostały zarzucone, jako rzeczy bezwartościowe, które nagle innego nabierają blasku, innego znaczenia.

Nie wystarczają już opisy i obserwacje podróżników, trzeba było sięgnąć wprost do japońskiej literatury i tam znaleść rozwiązanie zagadki. Stąd tłumaczenia autorów japońskich, rozchodzące się szybko i gorączkowo czytane, a każdy z nich na równi z granatami i bombami rozjaśnia sytuację na dalekim Wschodzie i okazuje z oddali świat nowy, nieznany, płonący dziś ponurym ogniem wojny i w tym ogniu cały hart swojej duszy okazujący.

Jedną z takich książek jest wydane obecnie nakładem księgarni Altenberga tłumaczenie polskie dzieła profesora japońskiego Nitobé o „Bushido“ czyli duszy Japonji. Autor ów wyszkolony w pojęciach i wiedzy Zachodu, był zupełnie kompetentny do porównania swojego narodu z cywilizacją rasy białej i wyciągnięcia odpowiednich wniosków, a stąd książka jego jest przedewszystkiem dla czytelnika europejskiego zrozumiałą, a potem daje mu całokształt japońskich pojęć etycznych w porównaniu do takichże pojęć Zachodu. Jest to więc niejako komentarz do japońskiej etyki, będący równocześnie wyjaśnieniem zagadki siły i dzielności japońskiej armji i jej wodzów.

Przeglądając karty tej książki dziwne odnosi czytelnik wrażenie. Zda się, że nic nowego japońskie „Bushido“ nie przynosi ponad to, co ustaliły księgi biblijne i systematy filozoficzne Zachodu, nic nowego ponad to, co przyniosły Europie kodeksy rycerskie, a jednak jaka straszna jest tu różnica, jaka głęboka przepaść! Bo w Europie przedewszystkiem zawieszono już dawno na kołku to, co dziś jeszcze duszę Japończyka rozpłomienia do wielkich i bohaterskich czynów. Hasła braterstwa, sprawiedliwości w imię współczucia ze słabszym, a brakiem obawy wobec silniejszego, stały się dziś pustymi hasłami wobec zasady „siły przed prawem“ i rozbójniczego, jak powiada tłumacz niniejszej książki, białego imperjalizmu, schodzącego coraz bezczelniej z gruntu etyki i prawa na grunt brutalnej przemocy, depcącego coraz bezwzględniej, w imię rzekomych przyrodzonych przywilejów, przyrodzone prawa narodów....

Japońskie „Bushido“ pojęcia i etyka, to zupełne przeciwstawienie brutalnych praw, położonych polityce europejskiej przez Bismarka — prawom, które kiedyś i u nas nie były czczym tylko wyrazem. Japońskie „Bushido“ to gorąca odpowiedź tym, którzyby politykę hakatystów i na nasz grunt chcieli przeszczepić, rozumując, że to, co Prusom potęgę przyniosło i nam także na pożytek wyjść może. Obecna wojna jest najlepszym dowodem, że nie zawsze tylko brutalna siła i przemoc zwycięża, jest ona tryumfem ducha nad kolosem. O tem niech sobie pamiętają nasze domorosłe Bismarczątka...

Książka przeto dr. Nitobé, oprócz swojej wojennej aktualności, posiada także wartość i w naszych stosunkach, gdzie brak wszelkiej etyki i zasad usiłują niektórzy podać właśnie jako zasadę... narodową. Przyswojenie przeto dzieła japońskiego myśliciela naszej literaturze jest więc faktem bezwarunkowo dodatnim.

Fr. J.

PISMA. Ostatni numer „Przewodnika naukowo literackiego“ rozpoczął druk pracy prof. Oswalda Balcera p. t. „O Morskie Oko“. Jestto literackie zestawienie i obrobienie wywodów autora, które wygłosił na sądzie rozjemczym w Gracu, jako referent sporu ze strony austrjackiej. Praca ta podana do druku pod hasłem „et haec olim meminine iuvabit“ odznacza się niesłychaną ścisłością i żelazną logiką wniosków. Oprócz więc swojej dużej wartości historycznej, gdyż prof. Balcer podaje w niej wszystkie archiwalne i historyczne dowody, wykazujące prawa nasze do Morskiego Oka, posiada wartość także prawną, jako wzór druzgocącej krytyki.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.